

Każdy wybór ma cenę.
Zwłaszcza w przededniu końca.

NIM ZGASNĄ SNY

MARIA PASZYŃSKA

FILIA

MARIA PASZYŃSKA

**NIM ZGASNAŁ
SNY**

FILIA

Piotrowi...

1936

Rozdział 1

Lato 1936 roku było słoneczne i burzowe. Francuskie Zgromadzenie Narodowe zatwierdziło projekt ustawy, na mocy której tydzień pracy skrócono do czterdziestu godzin, a robotnikom przyznano dwutygodniowy urlop. W ślad za dniami wolnymi od pracy pojawił się zniżkowy bilet na kolej dla całych rodzin i ulotki dla właścicieli budynków instruujące, jak przerobić je na schroniska młodzieżowe. Jedenastego lipca w Nowym Jorku mostami połączono Bronx, Manhattan i Queens, a pięć dni później nieopodal Gdyni do wody runął polski samolot z generałem Gustawem Orliczem-Dreszerem na pokładzie. Tym i wielu innym wydarzeniom poświęcano jednak o wiele mniej uwagi, niż na to zasługiwały. Tego lata bowiem wszyscy mówili tylko o jednym. Wielkimi krokami zbliżały się igrzyska olimpijskie w Berlinie i oczy świata zwrócone były w stronę serca III Rzeszy.

Piłkarze przyjechali do Berlina pod koniec lipca specjalnym pociągami, z resztą polskiej reprezentacji olimpijskiej. Wzdłuż trasy gromadzili się wiwatujący kibice. Młodzież, kobiety, mężczyźni podnoszący dzieci wysoko, tak, by mogły

lepiej widzieć skład, klaskali, wykrzykiwali zagrzewające do boju hasła, obrzucali wagony kwiatami.

– Jak po śmierci marszałka Piłsudskiego – zażartował pomocnik Wisły, Józef Kotlarczyk, wspominając ubiegłoroczną podróż trumny z ciałem Marszałka, który zmarł w Belwederze, z Warszawy do Krakowa. Naczelnik państwa miał bowiem spocząć obok królów na Wawelu.

Pamiętny przejazd pociągu wiozącego zwłoki Józefa Piłsudskiego odbywał się nocą. Srebrna trumna była oświetlona reflektorami. Mimo późnej pory na kolejnych stacjach wśród majowych ciemności na oddanie ostatniego hołdu Marszałkowi czekały tłumy, dziesiątki tysięcy ludzi żegnających swego przywódcę.

– Tylko trochę weselej – dodał Tadeusz z zadowoleniem człowieka traktującego wszelkie przejawy uwielbienia jako coś z natury mu przynależnego.

– Dzięki Bogu, że nie płaczą jak wtedy – skomentował jego klubowy kolega, zawodnik warszawskiej Polonii, Władek Szczepaniak, machając wesoło do grupki młodych dziewcząt. – Takie łkania bez wątpienia przyniosłyby nam pecha na boisku.

Im bliżej było igrzysk, tym powszechniejsze stawały się wśród sportowców przejawy wiary w zabobon, jakby zrobili już wszystko, co było w ich mocy, i teraz starali się pozyskać przychylność sił nadprzyrodzonych.

Jedna z wiwatujących dziewcząt, krągła blondynka z uroczymi dołeczkami w policzkach stojąca niebezpiecznie blisko krawędzi peronu, rzuciła w kierunku piłkarza bukiet kolorowych kwiatów. Szczepaniak wychylił się mocno i niemal w ostatniej chwili złapał wiązanke.

– Szkoda, że to nie kielbasa – westchnął, wsuwając się znów do wnętrza przedziału, gdy minęli stację, zostawiając za sobą wielbicieli polskiego sportu.

Pociąg przyspieszył, jadąc przez pola złocące się od pszenicy czekającej na duże żniwa. Słońce pełni lata prażyło niemiłosiernie.

W przedziałach piłkarzy przy brzdęku butelek kwasu chlebowego od Habermuscha i Schilego, tłoczonych soków owocowych i cytrynady Kobylepole omawiano wyniki losowania drużyn przeprowadzonego kilka dni wcześniej, dziewiętnastego lipca, w hotelu „Russischer Hof” w Berlinie. Polska miała w pierwszej kolejności zmierzyć się z Węgrami, późnym popołudniem piątego dnia igrzysk, gdy upał nieco zelżeje.

Nikt nie ważył się nawet tknąć alkoholu, odkąd po drużynie poniosła się plotka, że trener ostatecznie nie zdecydował się na powołanie Ernesta Wilimowskiego właśnie z powodu jego skłonności do nadużywania trunków.

Gdy temat się wyczerpał, jeden z piłkarzy wyjął *Polski słownik pijacki i antologię bachiczną* Tuwima. Głośna lektura skończyła się jeszcze głośniejszymi śpiewami.

– „Pije Kuba do Jakuba, Jakub do Michała” – wyśpiewywali na całe gardło zawodnicy, gdy pociąg przekraczał granicę III Rzeszy. – „Wiwat ty, wiwat ja, kompanija cała”.

Wieczorem dotarli na miejsce. Zmęczeni i spoceni jak po porządnym treningu.

Wioska olimpijska, położona nieco ponad trzydzieści kilometrów od Berlina, robiła wrażenie. Trzy i pół tysiąca sportowców ulokowano w nowych, w pełni wyposażonych parterowych domkach. W każdym pokoju były dwa proste

drewniane łóżka z wygodnymi materacami, przedzielone biurkiem. Nad każdym posłaniem zamontowano kinkiet z okrągłą lampką. Było też krzesło i wydzielona przestrzeń na rzeczy osobiste. Na ścianach wisiały przyjemne lansafty, a w oknach zasłony. Wszystko pachniało świeżością i było wysprzątane na błysk. Wielu zawodników, szczególnie tych biedniejszych, którzy w kraju nie mieli tak dobrej sytuacji mieszkaniowej i nierzadko cisnęli się w jednym pokoju z całą rodziną lub przynajmniej licznym rodzeństwem, nigdy wcześniej nie doświadczyło takich luksusów.

– Podobno po olimpiadzie powstaną tu koszary lotnicze – poinformował Tadeusza Ewald Dytko, pomocnik Dębu Katowice, który zdawał się najlepiej zorientowany w sprawach dotyczących organizacji igrzysk.

Wszystko było dobrze przemyślane, porządnie zorganizowane i urządzone niezwykle nowocześnie. Budynkowi, w którym znajdowało się specjalne miejsce na posiłki, Speisehaus der Nationen, czyli Stołówka Narodów, nadano kształt elipsy. Na planie wioski konstrukcja ta wyglądała jak monstrualne oko, które miało czuwać nad resztą terenu. Lecz to rozległe zielone trawniki przyciągały młodych, którzy przesiadywali na nich z nowymi znajomymi z całego świata.

W wiosce były też oczywiście sale do ćwiczeń, jeziorko z sauną fińską, boisko i baseny.

– Idealne miasto sportowców – szeptano z podziwem.

Nawet szef Amerykańskiego Komitetu Olimpijskiego był pod wrażeniem. Podobno powiedział, że „Od czasów starożytnej Grecji żaden naród nie oddał prawdziwego ducha olimpijskiego tak jak Niemcy”. A zaimponowanie przybyszom zza oceanu było nie lada osiągnięciem.

– Jak nie wiadomo, czym zaimponować, zawsze można pieniędzmi – skomentował tę plotkę Dytko. – Za sto milionów marek nietrudno osiągnąć spektakularny efekt.

Dla Tadeusza zachwyt Amerykanina był ważny tylko z jednego powodu. Dawało mu to pewność, że igrzyska w Berlinie odbiją się szerokim echem w świecie, a każdy sportowiec, który zdoła przyciągnąć uwagę widzów, sędziów, dziennikarzy i komentatorów, bez wątpienia dołączy do panteonu sław.

Nie przyjechał do Berlina politykować. Nie dbał o III Rzeszę ani o II Rzeczpospolitą. Nic go nie obchodziły doniesienia o czerwcowych antyżydowskich zajściach w Mińsku Mazowieckim, tak zwanym najeździe na Myślenice, podczas którego podpalono synagogę i niszczone żydowskie mienie, czy o wybuchu wojny domowej w Hiszpanii, zapoczątkowanej przez przewrót generała Francisca Franco.

Nie zamierzał niczego manifestować, niczemu się sprzeciwiać, nikomu okazywać poparcia. Znał swój cel. Zamierzał zabłysnąć. Pragnął sławy, spełnienia snutych od dziecka marzeń o potędze – i tylko to się dla niego liczyło.

Polaków wraz z Brazylijczykami, Japończykami, Węgry, Duńczykami, Czechosłowakami i Rumunami ulokowano w północnej części wioski, na drugim krańcu od głównego wejścia i budynku recepcji. W tej samej części, nieco z boku, na skraju niewielkiego zagajnika, znajdowały się kwatery Niemców.

Cały teren poznaczony był ścieżkami, ale Tadeusz szybko opracował własne trasy, tak by unikać tłumów, gdy nie miał ochoty na życie towarzyskie. Hala sportowa i basen usytuowane były nieopodal siebie, oddzielały je jedynie domki zajmowane przez sportowców z Kostaryki, którzy po raz pierwszy występowali na igrzyskach. By tam dotrzeć, Zasławski musiał

minąć niemiecką część wioski olimpijskiej i przejść przez zagajnik obok kwater Finlandii i Indii. Była to trasa nieco okrężna względem wyznaczonego oficjalnie szlaku, ale przyjemniejsza i, co ważniejsze, spokojniejsza, gdyż na pozostałych ścieżkach wiecznie kłębiły się tłumy ludzi. Tadeusz zbaczał więc i chodził na treningi własnymi drogami.

Pewnego ranka wstał przed wszystkimi, by popływać, nim basen się przepelni. Owszem, poszczególne kraje miały wyznaczone grafiki treningowe, ale gdy ktoś chciał poćwiczyć we własnym zakresie w wolnym czasie, nie było z tym problemu.

Mimo wczesnej pory powietrze było ciężkie i gęste. Od wielu dni zbierało się na deszcz, który jednak nie chciał się rozpaść. Tadeusz wyszedł cicho, by nie budzić kolegi, z którym dzielił pokój. Ubranie lepiło mu się od potu i z prawdziwą przyjemnością myślał o wskoczeniu do basenu. Przeciął linię domków Czechosłowaków, przeszedł pomiędzy kwaterami Rumunów i Niemców i znalazł się w zagajniku. Przynajmniej tu powietrze było nieco lepsze, pachnące wilgocią leśnego poszycia.

Zasławski zwolnił. Wokół śpiewały ptaki, usiłując zbudzić do życia świat pogrążony w letnim letargu.

– Nie możesz spać? – usłyszał za sobą czyjś głos.

Obrócił się i stanął oko w oko z wysokim, doskonale zbudowanym blondynem o intensywnie niebieskich oczach. Gładko uczesany, idealnie ogolony, ubrany w brunatny mundur ze swastyką, z powodzeniem mógł w każdej chwili zapozować do zdjęcia reklamującego III Rzeszę.

Idealny Aryjczyk – pomyślał z przekąsem Tadeusz i od ruchowo przejechał dłonią po szczecinie na własnej brodzie. O tak wczesnej godzinie myśl o użyciu brzytwy nawet w jego głowie nie powstała.

– Idę popływać – poinformował. – Szkoda życia na sen. Młodym jest się przecież tylko raz.

Niemiec uśmiechnął się szeroko.

– Heinrich Eckermann – przedstawił się.

– Tadeusz Zasławski.

– Polak – powiedział tamten, a Tadeusz nie był pewien, czy to nagana, pochwała, czy po prostu stwierdzenie faktu.

Skinął głową, usiłując przypomnieć sobie, czy Hitler miał jakieś zastrzeżenia też do Polaków.

– Dyscyplina? – odezwał się znów Eckermann.

– Piłka nożna – odparł Tadeusz, prostując się nieznacznie.

– Jeździectwo – poinformował Heinrich.

– Ujeżdżanie czy skoki?

– WKKW – rzucił krótko Niemiec. – Indywidualnie.

Zasławski zrobił minę wyrażającą pełne uznanie. Nigdy specjalnie nie interesował się hippiką, lecz nawet on wiedział, że wszechstronny konkurs konia wierzchowego to najbardziej spektakularna dyscyplina. Dopiero od kilku lat mogli w niej startować cywile, gdyż wcześniej zarezerwowana była wyłącznie dla oficerów wojskowych służby czynnej.

Ruszyli przez zagajnik. Heinrich opowiadał o kolejnych konkurencjach WKKW, ujeżdżaniu, próbie terenowej i skokach przez przeszkody, z których każda składała się z wielu etapów. Tadeusz musiał mocno wysilać swój nierozbudzony jeszcze umysł, by pojąć tę płątaninę zależności. Zmagania piłkarskie miały zdecydowanie prostszą strukturę.

– Od nas pewnie też ktoś startuje... – zastanowił się.

Polska kawaleria była formacją cieszącą się powszechnym uznaniem, a rodzime stajnie, zwłaszcza te w Janowie Podlaskim, Łącku i Kozienicach, były sławne na cały świat.

– Kawecki, Kulesza, Leliwa-Roycewicz – wyrzucił na jednym oddechu Eckermann.

– Imponujące – stwierdził Zasławski.

– Praktyczne – odparował Heinrich. – Trzeba znać rywali.

Tadeusz przyznał mu rację. Podczas zgrupowania polscy piłkarze spędzili wiele godzin na analizowaniu sposobu gry zawodników poszczególnych reprezentacji, by wiedzieć, czego mogą się po każdym z nich spodziewać.

– Odprowadzę cię do Schwimmhalle – oświadczył nagle Heinrich.

– Nie macie jakiejs zbiórki? – upewnił się Zasławski.

Reprezentanci III Rzeszy zdążyli już się wslawić nietypowymi praktykami. Ich rozkład dnia różnił się od pozostałych drużyn. Członkowie innych reprezentacji poza ściśle wyznaczonym rozkładem treningów spędzali czas dowolnie. Wylegiwali się nad jeziorem, spacerowali albo godzinami przesiadywali na trawnikach, jedząc, pijąc, grając na gitarach, tańcząc, śmiejąc się i rozmawiając.

Niemcy zdawali się nie mieć wolnych chwil. Odbywali musztry, gimnastyki, apele, biegali, maszerowali albo wystęchiwali długich przemówień, jakby w każdej minucie pragnęli manifestować swoją odrębność. Wyższość. Jakby chcieli powiedzieć innym: bawcie się, a tymczasem my, idealni, wysocy, muskularni Niemcy, zgarniemy wszystkie medale.

– Mam czas – zapewnił Heinrich. – Jeszcze nie grali na apel.

Ruszyli wśród zieleni spłowiałej od upałów. Słońce migotało w koronach potężnych starych drzew, raz po raz obrzucając ich błyskami światła. Zapowiadał się kolejny upalny dzień.

Tadeusz obawiał się, że jego nowy kolega okaże się kolejnym maniakiem Hitlera, który zaserwuje mu porcję

ideologicznego bełkotu, co – zważywszy na porę – byłoby trudne do zniesienia. Tymczasem ku jego zaskoczeniu Heinrich okazał się idealnym kompanem. Polityką interesował się jedynie w niezbędnym minimum. Co innego sportowy tryb życia, konie, a przede wszystkim płęć przeciwna. Tu sprawiał wrażenie człowieka wszechwiedzącego.

Od tego dnia spotykali się co rano, a i wieczory spędzali wspólnie, jeśli tylko pozwalał im na to rozkład zajęć reprezentacji III Rzeszy.

Heinrich uwielbiał skupiać na sobie uwagę kobiet, przyciągać ich spojrzenia spod rzęs, wywoływać nieśmiałe uśmiechy czy płomienne rumieńce. Nie tracił żadnej okazji na pogawędkę z dziewczętami, których w tej olimpiadzie uczestniczyło wyjątkowo dużo.

– Cząsy się zmieniają – wzdychał zachwycony, gdy wraz z Tadeuszem siedzieli na murku w cieniu wysokiego drzewa, podglądając rozgrzewkę amerykańskich lekkoatletek ubranych w krótkie spodenki i białe obcisłe podkoszulki z cienkiej bawełny, idealnie uwydatniające ich płaskie brzuchy i jędrne młodzieńcze piersi. Zawodniczki podskakiwały w miękkiej wysokiej trawie i wyginały się na wszystkie strony, wykonując polecenia trenera. – Wyobraź sobie, jakim koszmarem musiały być wcale nie tak dawno te wszystkie gorsety, krynoliny, halki i co tam jeszcze było.

Tadeusz, który od zawsze cieszył się względami płci przeciwnej, znalazł w Heinrichu godnego przeciwnika. Flirty z cudzoziemkami – egzotycznej urody Włoszkami, skośnookimi Japonkami czy cichymi, melancholijnymi Jugosłowiankami – traktowali jak rodzaj sportowej rywalizacji, z której obaj czerpali mnóstwo zadowolenia.

Dużo rozmawiali. Tadeusz miał wrażenie, że nigdy wcześniej z nikim nie mówił tak swobodnie i otwarcie, jak z Heinrichem. Z wdzięcznością myślał o rodzicach, którzy od najmłodszych lat zmuszali go do nauki niemieckiego – jak twierdzili zgodnie, języka nauki.

Przy Heinrichu mógł być sobą. Nie wysilać się na intelektualizowane dysputy, nie udawać, że śliczne panny są po to, by je hołubić i prowadzić do ołtarza, nie rozważać tych wszystkich nużących kwestii wojen, ideologii czy gospodarki, nie omawiać nudnych książek, które wszyscy mieli, a mało kto czytał.

Eckermannowi życie zdawało się równie nieskomplikowane co samemu Tadeuszowi i sprowadzało się do pragnienia chwały, sławy i korzystania ze wszystkich uroków życia, bez zbędnego przemęczania się.

Heinrich opowiadał mu ciekawostki ze świata koniarzy, a Tadeusz odwodził się historiami piłkarskimi, o skandalu w związku z tajemniczym usunięciem z kadry najlepszego napastnika, o zgrupowaniu i letnim sparingu w Katowicach z austriacką drużyną Wacker.

– Musieliśmy przerwać mecz po czterdziestu siedmiu minutach.

– Tyle fauli? – zakpił Heinrich, który nie krył się z tym, że piłkę nożną uważa za sport nieco barbarzyński.

– Gradobicie – odparł Tadeusz. – W życiu nie widziałem takiej ulew. A mimo to byliśmy gotowi grać. Prowadziliśmy dwa do zera!

– W takim układzie też upierałbym się przy dalszej grze – stwierdził Heinrich, ze zrozumieniem kiwając głową.

Eckermann słuchał cierpliwie, gdy Zasławski rozwodził się nad rozegranym w Warszawie meczem z węgierskim klubem Phöbus, które to starcie zadecydowało o ostatecznym kształcie drużyny.

Z czasem ich rozmowy zeszły na życie osobiste. Tadeusz opowiedział Heinrichowi o swoich rodzicach, profesorach, którzy nie widzieli świata poza nauką i rodziną, o braciach i bratankach, o wuju Bryle – tą znajomością Heinrich był szczerze zachwycony, bo i on słyszał o Warszawskim niebotyku i moście w Maurzycach na Słudwi.

– Całe pielgrzymki niemieckich inżynierów jeździły oglądać te konstrukcje – wyjaśnił Tadeuszowi.

Zasławski opowiedział nowemu przyjacielowi o Warszawie, o grze w Polonii, a wreszcie i o Wielkiej Piątce, pomijając rzecz jasna fakt, że Berek był żydem. Nigdy wcześniej ten fakt nie zwracał jego specjalnej uwagi. Stein był po prostu Steinem, przyjacielem jego najstarszego brata, irytującym w swojej doskonałości i powadze, ale obecnym stale, jak członek rodziny lub wielkie drzewo w ogrodzie przy ich domu w kolonii profesorskiej.

Przy okazji skonstatował też, że sam nigdy z nikim tak naprawdę się nie zaprzyjaźnił. Jan miał Berka, Andrzej Wojtkę, a jemu jakoś zawsze było nie po drodze z nawiązywaniem takich relacji, choć miał przecież mnóstwo kolegów. Może działa się tak, ponieważ bracia i ich przyjaciele wypełniali tę przestrzeń w jego życiu, a może ponieważ Tadeusz nie spotkał nigdy mężczyzny, którego naprawdę uznałby za równego.

Z Heinrichem było inaczej. Chciał opowiadać mu o sobie, ale był też naprawdę ciekaw jego opowieści. Eckermann był arystokratą. Synem baronostwa von Eckermannów.

BERLIN KARMI ŚWIAT ZŁUDZENIEM NOWOCZESNOŚCI.
WARSZAWA WSPINA SIĘ KU MARZENIOM.
IGRZYSKA OLIMPIJSKIE STAJĄ SIĘ TŁEM DLA GRY,
W KTÓREJ SPORT TO TYLKO FASADA.



Latem 1936 roku oczy całego świata skierowane są na stolicę III Rzeszy, gdzie odbywają się igrzyska olimpijskie. Hitler bezwstydnie zawłaszczył najważniejsze święto sportu do własnych celów. Jedni nazywają je igrzyskami wstydu, inni nie mogą oprzeć się czarowi rozmachu nazistów.

Tadeusz Zasławski ani myśli rozważać o politycznych aspektach tego wydarzenia. Dla niego to jedynie szansa na wieczną chwałę i splendor. Pragnie, by cały świat padł mu do stóp. Chce znaleźć się na piedestale, gdzie od zawsze jest jego miejsce.

Tymczasem pod rządami prezydenta Starzyńskiego Warszawa rozkwita, powoli stając się miastem ze snów.

Po zderzeniu ideałów z rzeczywistością bohaterowie *Warszawskiego niebotyku* uczą się żyć na nowo. Romantyczne wizje powoli ustępują miejsca pozytywistycznym planom. Wybory, które stawia przed nimi los, są niełatwe i niosą konsekwencje, na które nie zawsze chcą się zgodzić. Nie ma jednak innej drogi. A szlaki miłości często wiodą wśród cierni.

Upragniony spokój nie jest im dany. Pętla dziejów się zaciska. Wszyscy czują już oddech nieuniknionego – czającej się tuż za progiem straszliwej wojny.

cena 49,90 zł

FILIA

ISBN 978-83-8402-241-2



9 788384 022412